№ 22.

WARSZAWA DNIA 21 Maja / 2 Czerwca R. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

ŻYWOT

MIKOŁAJA MACHIAWELA (1)

PRZEZ

MACOULAYA.

(Dalszy ciąg).

Następnie zajmował się posłowaniem w Pizie, w Sieunie i we Francji: czynnością poboru, przeglądaniem fortec. W roku 1511 czując się chorym napisał testament, pokazujący jasno, że oprócz urzędu, nie miał żadnego innego majątku, bo poleca za sprzedaż domowych nieruchomości, kupienie procentowych papierów, mających stanowić utrzymanie żony z dziećmi. W tym to czasie armia francuzka wysłana Florencji w pomoc przez Ludwika XII przymuszona do odwrotu po przegranéj pod Rawenną, pozostawiła to miasto jego własnym siłom, w obec wojsk hiszpańskich, papiezkich i weneckich, złączonych razem pod nazwą Ligi. Wojska te odzyskawszy na Francuzach medjolańskie księztwo, posunęło się do Florencji w celu przywrócenia Medyceuszów przez lud wygnanych. Soderini zarządający wówczas Rzecząpospolitą w godności *Gonfaloniera* usiłował stawić opór, powierzywszy Machiawelowi przegląd fortec krajowych i organizacją obrony. Zrobiono już nawet niektóre przygotowania i postanowiono oczekiwać nieprzyjaciela, gdy właśnie przybyło hiszpańskie poselstwo. Ci posłowie, jak objaśnia Machiawel, wystawili, że nie przychodzą jako nieprzyjaciele, że bynajmniéj nie godzą na wolność Rzeczypospolitéj, ani na osłabienie jéj potęgi, ale że chcą tylko posiąść miasto, że należy opuścić stronnictwo francuzkie a przystąpić do Ligi, która znając Piotra Soderiniego jako francuzkiego stronnika, nie może mu ufać dopóki tenże będzie przy władzy. Skutkiem tego oświadczyli, że wice król wymaga złożenia z urzędu Soderiniego i żeby Florenczycy wybrali sobie innego Gonfaloniera. Soderini oświadczył, że władza przez miasto została mu nadana, że gdyby armje całego świata nakazały mu ją złożyć, to on tego nie uczyni, ale jaką wolę objawi miasto, on się do niéj chętnie zastosuje. To wskrzesiło odwagę; ale hiszpańska armja posunęła się naprzód, zdobyła Prato, a szlachta żałująca Medyceuszów, porwała za broń i w nocy zajęła wszystkie stanowiska. Soderini opuścił miasto i porządek dawny został przywrócony. Panowie, powiada Machiawel, zgromadzili ludowy parlament i wniesiono prawo, na mocy którego Medyceusze przywróceni zostali do wszystkich honorów i godności swoich przodków.

Wypadki te opowiedziane przez Machiawela z zimną obojętnością, były zapowiedzią jego upadku, bo podejrzywając zawsze o sprzyjanie partji ludowéj, usunięto go od urzędów, skazano na wygnanie, a nawet w końcu uwięziono i wzięto na tortury, jakoby należącego do sprzysiężenia na życie kardynała Jana Medicis, który późniéj został papieżem pod imieniem Leona X. W rok potem widziemy Machiawela mieszkającego na wsi przy drodze prowadzącéj od Florencji do Rzymu w malutkiéj posiadłości zwanéj la Strada. Tam wstaje przed wschodem słońca, zastawia sidła na kwiczoły, w lesie rozmawia z drwalami, obcina gałązki, albo przechadza się z Dantem w ręku lub Petrarką.

Następnie — „powiada sam Machiawel, przechodniów wypytuję o nowiny i uczę się od nich poznawać różnicę w gustach i rozumie ludzkim. Po objedzie na jaki wystarcza mój nędzny dochód, idę do karczmy i z gospodarzem, stolarzem, rzeźnikiem i dwoma palaczami wapna gram w triktraka, lub dysputuję w rozmaitych materjach.

Wieczorem wracam do domu, u drzwi zdejmuję zakurzone wieśniacze ubranie, ubieram się w dworskie suknie i wnikam w starożytny przybytek wielkich

ludzi. Rozmawiam z niemi i w pośród czterogodzinnéj dyskusji, zapominam o zmartwieniach, nie lękam się więcéj ubóstwa, a nawet saméj śmierci.

Odtąd widziemy Machiawela zajętego pilnie pisaniem, przymuszony spoczynek staje się dlań źródłem chwały. Pensionowany stale przez kardynała Juljana Mediceusza pisze historją Florencji, wraca do urzędu w dyplomacji, doziera fortyfikacji i pomału przychodzi do własności czterech domów na wsi, jednego we Florencji, pól i winnic. W roku wreszcie 1527 kończy swój czynny żywot, zwłoki jego złożono w kościele św. Krzyża bez żadnego nagrobku, i dopiero w półtrzecia przeszło wieku w r. 1786, wielki książę Leopold wystawił na jego cześć marmurowy pomnik, obok nagrobków Galileusza i Michała Anioła.

Opisany tu żywot Machiawela obejmuje niewątpliwe czyny, nim jednak, powiada autor, podamy rozbiór dzieł jego, uprzedzamy z góry, że mamy do czynienia z przesądem z biegiem czasu niezmiernie utrwalonym. Wystawiono bowiem florenckiego sekretarza za wyrocznią włoskiéj polityki XVI wieku, przypisywano mu najwyższą przewagę, wtrącano jakby umyślnie ówczesne wypadki i dla utrwalenia jego znaczenia, starano się o uwydatnienie nieznaczących nawet szczegółów. To złudzenie było bardzo naturalne, bo słusznie można wierzyć, że człowiek który odsłonił wszystkie tajemnice sposobu rządzenia, który był czytany przez wszystkich bohaterów nowożytnéj historji, musiał na współczesnych wywierać prawdziwy urok, a na bieg spraw swojego kraju nieprzeparte istnienie. Otóż w tem wszystkiem bardzo zbłądzili prawie wszyscy francuzcy i włoscy biografowie. Obowiązki bowiem Machiawela mimo szumnéj nazwy były bardzo podrzędne. Przypisywano mu wpływ osobisty o który się nie starał i którego wcale nie miał. Jeżeli zapytamy historji, to w niéj nie znajdziemy nic coby dotyczyło politycznego znaczenia Machiawela. Między pisarzami wszelkich partji, pod tym względem panuje absolutne milczenie. Równie nic nie znajdujemy w obcych historykach i imię jego tylko dwa razy zostaje wzmiankowane przy okolicznościach bardzo mało znaczących.

Historja nie potrzebuje zamilczać imiona tych, którzy przewodniczyli w przeznaczeniach swoich krajów, może im złorzeczyć, ale nie może zapominać. Machiawel tak mało sam siebie oceniał, że w najsławniejszem poselstwie przy Cezarze Borgii, najmocniéj nastawał, żeby rząd wysłał znamienitszych i lepiéj świadomych rzeczy, którzyby lepiéj od niego mówili. Nigdy też nie miał tytułu ambasadora, sprawował tylko urzędy czasowe, nadaremnie również starał się zwrócić na siebie uwagę mnóstwem projektów dotyczących reformy rządu, bo wszystkie zostały tylko ważnemi jako dzieła literackie i ograniczyły się na uorganizowaniu dla Florencji kilku kompanji piechoty. Nie będąc mężem ani jakiego stronnictwa lub zdarzenia, służył Rzeczypospolitéj i Medyceuszom zawsze niepokojony potrzebami życia i chociaż spędzał życie w pośród dostojników, sam nie doszedł do żadnego większego znaczenia.

Co więcéj, Machiawel potęgą genjuszu, owładający wszystkiemi dziejowemi faktami, przenikający całą tajemnicę polityki, znajdując się w pośród ówczesnych wypadków, zupełnie nie miał wyobrażenia o przyczynach i skutkach, bo był zawsze człowiekiem czynu i powodzenia, obcym wszelkiemu wyznaniu wiary i wszelkiéj zasadzie. Jest on pierwszym dostrzegającym system włoskiéj jedności, a w szczególniejszem roztrojeniu swego genjuszu, nie dostrzegł podwójnéj cesarskiéj i papiezkiéj restauracji, dopełniającéj się w jego oczach i niweczącéj tę jednotę. Wielkości też i tajemnicy jego chwały nie należy szukać w jego życiu, ale w jego dziełach.

Wszystko, co tylko zdaje się być zagadkowem, w życiu i w dziełach tego znakomitego człowieka, można jedynie wytłómaczyć stanem, w jakim znajdowało się w owych czasach uczucie moralności pośród Włochów.

W ciągu ponurych i nieszczęsnych lat po upadku cesarstwa rzymskiego, Italja zachowała ślady starożytnéj cywilizacji w większym daleko stopniu, aniżeli inne państwa Europy. Nad rozpostartą nad nią nocą, zorza zaczęła wschodzić zanim znikł na horyzoncie ostatni blask poprzedniego zachodu. Za czasów Merowingów francuzkich i saksońskiéj heptarchji, ciemnota i dzikość dosięgły ostatecznych granic. Ale nawet i wtenczas prowincje neapolitańskie, uznając władzę cesarstwa bizantyńskiego, zachowały coś z nauki i oświaty wschodu, a Rzym broniony przez świętość papieży, cieszył się przynajmniéj bezpieczeństwem i spokojem. Nawet w tych miejscach, w których srodzy Longobardowie, założyli swą monarchję, było bez porównania więcéj bogactw, wiadomości, środków materjalnych i porządku społecznego, aniżeli w Gallji, Brytanji lub Germanji.

Istotna różnica Italji od sąsiednich krajów, polegała na znaczeniu, jakiego bardzo wcześnie zaczęła nabywać tam ludność miejska. W prowincjach w których zarząd centralny nie mógł z przyczyny swéj słabości ani bronić ani uciemiężać, urządzenia municypalne nabyły stopniowo wielkiéj trwałości i siły. Mieszczanie strzeżeni przez mury i rządzeni przez własne władze i miejscowe prawa używali w znacznym stopniu niezawisłości. Tym sposobem rozwinął się silny duch, który możeby upadł pod silnem przymierzem kościoła z monarchją, ale niezgoda ich, wypiastowała go i wzmocniła. We wszystkich innych częściach Europy, klassa uprzywilejowana poniżała naród, we Włoszech szlachta feodalna w najwięcéj kwitnących częściach, była doprowadzoną w stosunku do nicości. W jednych prowincjach schroniła się pod opiekę Rzeczypospolitych i zlała się z massą mieszkańców, w innych używała większego wpływu, ale zupełnie niepodobnego do absolutyzmu arystokracji w państwach zaalpejskich. Wyprawy krzyżowe, na których mieszkańcy innych krajów mało co więcéj wygrali, oprócz relikwi i ran ciężkich, sprowadziły do powstających Rzeczypospolitych Adrjatyckiego i Tyreńskiego morza ogromne bogactwa, potęgę i wiedzę. Okręty włoskie zalegały wszystkie morza, włoskie faktorje powstawały na wszystkich brzegach, włoscy wekslarze zakładali swe stolice we wszystkich miastach, rękodzieła kwitnęły, urządzano banki, cała machina handlowa była w ruchu, skutkiem wielu użytecznych wynalazków. Żaden może kraj w Europie, z wyjątkiem Anglji, nie doszedł w owym czasie do tak wysokiego stopnia bogactwa i ukształcenia, jakiego dosięgły niektóre części Włoch przed czterema wiekami. We Florencji osiemdziesiąt banków kierowało operacjami finansowemi całéj Europy,

w rozmaitych szkołach dziesięć tysięcy dzieci uczyło się czytać, literatura i sztuki piękne w odpowiednim rozwijały się stopniu. Nadszedł potop barbarzyństwa, który zmył wszystkie znaki graniczne, zagładził wszelkie ślady dawnéj uprawy, lecz pustosząc użyźniał zarazem.

Po jego przejściu, pustynia stała się ogrodem Bożym, wesołym, śmiejącym się, wydającym wszystko co piękne, wonne lub pożywne. Język nowy nacechowany wdziękiem i energją prostoty, dosięgnął stopnia doskonałości. Nigdy żaden język nie dostarczał poezji żywszego słowa i rozkoszniejszego kolorytu, znalazł się i poeta umiejący godnie z niego korzystać.

Na początku XIV wieku ukazała się Boska komedja Dantego największy utwór od czasów Homera: Petrarka natchnął ziomków miłością literatury, historji i starożytności Rzymu. Boccacio zwrócił uwagę na wznioślejsze wzory sztuki greckiéj, a szacunek dla nauki i genjuszu zmienił się u ludu włoskiego prawie w bałwochwalstwo. Zbierać księgi, antyki, urządzać katedry profesorskie, opiekować się uczonemi, stało się ogólną modą. Wiedza też i pomyślność ogólna szybko się rozwijały, o czem pisząc Franciszek Guiciardini zmarły w r. 1540, powiada:

Czytając podobne opisy, trudno prawie wierzyć, że czytamy o onych czasach, kiedy kroniki Anglji i Francji, wystawiają tylko straszny obraz nędzy, barbarzyństwa i ciemnoty. Od ucisku nieumiejących czytać nawet, i cierpień jęczących w niewoli włościan, miło jest zwrócić się do bogatych i ukształconych państw Italji, do okazałych miast, portów, arsenałów, will, muzeów, bibljotek, rynków przepełnionych przedmiotami zbytku i wygody, do faktorji wrzących pracą, do Apeninów pokrytych bogatemi pastwiskami po same szczyty, do Po unoszącéj zboże Lombardji do Wenecji i przynoszącéj jedwab Bengalu i futra Syberji dla pałaców Medjolanu.

Ale zbliżał się czas, kiedy wszystkie siedem czar Apokalipsy miały się wylać do ostatniéj kropli, na te zachwycające strony, czas rzezi, głodu, nędzy, hańby i rozpaczy.

(d. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

PANOWIE AUGIER I GLAIS BIZOIN.

(Dokończenie).

Zapewne nie ma nikogo, coby patrząc na drzewo w całéj majestatycznéj piękności okryte liściem i kwiatem, nie napawał się z rozkoszą jego widokiem. W późnéj jednak jesieni widok tego samego drzewa ogołoconego ze swéj naturalnéj ozdoby, i zeschniętych liści tułających się po ziemi jak jakie sieroty niebożęta, obudza żal, tęsknotę, którego wyrazem bywa ciche westchnienie. Dla czego to samo drzewo, obumarłe w zimie, nagie, smutne, bezbarwne, na wiosnę, jakby pod wpływem czarodziejskiéj róższczki, przybiera wszelkie cechy młodości, uśmiechając się wabnie radością i nadzieją? Dla czego te listki, o których napisali się tyle poeci wszelkich wieków i narodowości, więdną, żółkną i oderwawszy się z objęć matczynych narażają się na straszną poniewierkę i ostateczne zniszczenie?

Pytania te dotąd nierozwiązane przez naukę, obecnie objaśnia mikroskop, który w miarę wydoskonalania się, dla ciekawości ludzkiéj stwarza nowe światy nieznane, i z wielu przedmiotów zdziera tajemnicę po dziś dzień je okrywające. Z badań tych przekonano się, że drzewo na które spoglądamy jako na rzecz martwą, nieżyjącą, jest wybornym gospodarzem kłopoczącym się jedynie, o wydanie z siebie jak najpiękniejszych owoców.

Cały wewnętrzny mechanizm drzewa, jest urządzony i działający w tym tylko kierunku; co tylko nie odnosi się do niego nie ma żadnego znaczenia. Do tego celu drzewo zmierza z nieubłaganą stałością, nic go wpracy nie wstrzymuje, czynne zarówno w dzień jak w nocy, pokonywa wszystkie przeszkody, działa, krząta się i nie ustaje dopóki owocu nie doprowadzi do zupełnéj dojrzałości. Dla niego to rozwija liście, aby ssać z powietrza pożywne pierwiastki, dla niego korzeniami zapuszcza się w głębinę ziemi, rozsadza skały, mury i kamienne zapory, jeżeli im choćby najmniejszą stawiają tamę podziemnych za karmą szperaniach. Owoc wreszcie dojrzewa, liść zatem żywiony sokami stałby się darmozjadem. Ale drzewo jest szafarzem oględnym i rachującym, musi przysposabiać zapasy do nowéj pracy, rdzeń więc posługujący do przesyłania soku czyli krwi roślinnéj stanowiącéj pożywienie liści, zamyka szczelnie, i nawet jednéj kropelki nie da się na próżno zmarnować. Liście zatem pozbawione pokarmu, choć poczciwie i starannie wypełniły swe obowiązki, przez drzewo umorzone zostają, najokrutniejszą śmiercią, głodem, sok zaś zbierając się obficie w tkance komórkowéj, skutkiém braku odpływu, zamienia się w stan stały i w kształcie mączki przechowuje do następnéj wiosny. Nagromadzenie jéj zaczyna się od wierzchołka dzzewa i aż do pnia się posuwa, wówczas to liście opadają i drzewo staje się szkieletem. Z pierwszym jednak promieniem wiosennego słońca, zaoszczędzona mączka zamienia się znowu w stan płynny: jednocześnie nabrzękają pączki drzewne, rozwijają się listki i praca całego drzewa rozpoczyna się na nowo.... dla kwiatu i owocu. W miarę rozwijania się liści, mączka ginie, i w chwili zupełnego ich rozwoju, najściślejsze badania nic jéj nie wykryły tylko przeciwnie wyśledziły sok, krążący po drzewie bez najmniejszéj przeszkody. Tak więc liście głucho i smutnie szeleszczące w późnéj jesieni popychane, poniewierane i potrącane jak najnędzniejsze łachmany, są to istoty obumarłe z głodu, w nagrodę wiernéj i pożytecznéj służby za życia.

Podobny fenomen dostrzega się na rogach niektórych zwierząt ssących. U jelenia, sarny, daniela, a czasami i u........ rogi wyrastają na podobieństwo kiełków roślinnych. Po obydwóch stronach kości czołowéj, pokazują się pewne wypukłości następnie przedłużają, podnoszą skórę i w ciągu kilku tygodni wyrastają dzieląc się na różne gałązki. U czworonogów powtarza się to corocznie, u innych rogi wystarczają na całe życie.

Nie dawno tutejszéj akademji nauk przez pp. Pasteur i Lameth przedstawione były sposoby sztucznego przemieniania wina młodego na stare. Oba zasadzają się na ogrzaniu go, różniąc się tylko w małych

szczegółach co do postępowania przy téj czynności. Nad spodziewanie jednak znaleźli niebezpiecznego rywala w pewnym Pikardczyku Jakóbie Rousconer starym żołnierzu z armji Napoleona I, o którym tradycja żyje dotąd między ludem, a wiadomość pomieszczoną została w pamiętnikach księżny D'Abrantes. Pikardczyk ten straciwszy nogę w Egipcie, otrzymał uwolnienie ze służby wraz z roczną pensją i ożeniwszy się z młodą dziewczyną imieniem Marjanną, założył traktjernię do czego pani Jakóbowa, jako była pomywaczka w kuchni znakomitego pana, posiadała zupełną kwalifikacją. Wkrótce handelek zyskał wielką wziętość, tak dalece że wiele nawet osób z arystokracji, śpieszyło cichaczem do pani Jakóbowéj na smaczną potrawkę i lampkę wybornego wina. Szczególniéj też gościom wino się podobało, chwalono go i zapijano z wielkiem własnem zadowoleniem, a większem jeszcze ukontentowaniem państwa Jakóbowstwa, którzy ciułając grosz do grosza, przyszli wreszcie do tego, że zwinęli handelek, a kupili majątek ziemski za pół miljona franków nad brzegami Morny.

Wówczas handlujący winem, domyśliwszy się jakiegoś sekretu, zgłosili się do pana Jakóba objawiając chęć zakupienia go i zapłacenia grubych pieniędzy. Zacny żołnierz, odmówił oświadczając, że środek przez niego używany jest prosty, że nie miałby sumienia brać za wyjawienie jego zapłaty. Powiedziawszy to wyjął z biórka stary podarty kalendarz i przeczytał głośno następujący z niego wyjątek:

„Aby nadać winu przymioty starego wina, należy w kociołku zagotować wodę i wstawić w nią butelki szczelnie zakorkowane. Skoro butelki rozgrzeją się należycie, odstawiają się z kociołkiem z ognia na bok i dopiero po oziębieniu wody wyjmują się z niéj, a wino nabiera przymiotów najmniéj wina trzydziestoletniego.“

Pokazuje się więc, że czasem i kalendarzowemi wiadomościami nie należy gardzić, dla czego jednak dopiero dziś przedmiot ten wszedł na pole nauki, trudno odgadnąć. Sądzę jednak, że jeżeli środek podany jest praktyczny, to tylko dla wina francuzkiego nigdy dla węgierskiego i to w porcjach przeznaczonych na prędkie zużycie. Próba jednak i z węgrzynem nie zawadzi, zwłaszcza że tu nie idzie o mięszanie pierwiastków zdrowiu szkodliwych.

Opowiadają tu zabawne zdarzenie o Aleksandrze Dumasie, który pomimo ogromnych dochodów znajduje się zawsze w przykrych rachunkowych kłopotach i wiecznie z komornikami sądowemi w urzędowych żyje stosunkach- Znajdując się raz w Brukselli, proszonym został o składkę na pogrzeb zmarłego jakiegoś Francuza. Nie lubiąc wydatków podobnego rodzaju, skrzywił się więc niemiłosiernie i zapytał:

— „Ileż to téj jałmużny wymagacie odemnie?

— „Dobrych chęci w zdarzeniach takich nie krępujemy niczem“ — odpowiedziały kwestarki — „osoby jednak posiadające większe dochody dają zwykle dwadzieścia franków.

Dumas zwrócił się do biórka i szukając pieniędzy zapytał od niechcenia zawsze zmarszczony i niezadowolony:

— „A czemże był nieboszczyk dawniéj, kiedy mieszkał w Paryżu?

— „Komornikiem sądowym.......

— „Co? — komornikiem“ — przerwał żywo Dumas — „zacne panie, na pogrzeb komornika dam nie dwadzieścia ale sto franków, z warunkiem tylko abyście go tak dobrze pochowali, żeby więcéj nie wstał. Jeżeli to mało dodam więcéj, aby tylko warunek był wykonany.

Żeby pan Dumas mógł tak swoje marnotrawstwo zagrzebać bez powstania, możnaby tysiące ofiarować, a jeszcze by zysk ogromny pozostał.

POGADANKA TYGODNIOWA.

Majówki w tym roku, jakby chciały sprawdzić znaną przypowieść, iż u nas mamy pół roku zimy, a pół roku zimna, zupełnie się nie udały. Chwilowe ciepło w prędce zastąpione dotkliwym chłodem, przeplatane nieznośnem wichrem, a czasem śniegiem i krupkami, udaremniły wszelkie zachcianki wiosennych wycieczek. Znaleźli się jednak uparci, niezważający na podobne przeszkody, i wierni tradycyjnemu obyczajowi, wyruszyli w zamiejskie okolice, aby odetchnąć tchnieniem majowéj przyrody. Do podobnych konserwatystów, przechowujących z poszanowaniem stare zwyczaje, należał i Wasz gawędziarz, Janek z Bielca. Wycieczka miała być dalszą, kilkomilową, bo dla mieszczuchów bal to nielada wioski rozkosze, kiedy więc użyć, to już całą gębą i dalko i na dni parę. Zagwożdżeni w murach miejskich, jak okazy zoologiczne, ciągle pieściliśmy w myśli, obrazy natury niedawno rozbudzonéj do życia. Migały nam motylki trzepocące skrzydełkami, kwiatki uperlone rosą, pszczółki brzęczące, zielone kobierce łąk i zboża, śpiew skowronków, klekot bociani, głos derkacza, a szczególniéj szpalery, bzu rozkwitłego i cieniste lasy, w których

postanowiliśmy przesiedzić dni całe, aby się nasycić, a nawet przesycić aromatem woni i żywicznym drzew oddechem. W prawdzie w dniu wyjazdu słońce słabo migotało; po niebie przebiegały chmurki w licznych grupach szaro-sinego koloru: — liście w ogrodach przyczerniały, trawniki pożółkły, ptaszyny posmutniały, na targu włościanie pokazali się w kożuchach, woźnica co nas miał powieść bił rękami z zamachem kowala kującego młotem.... ale to przesada, mówiliśmy sobie, przecież to sam środek maja, zwiastuna skwarnego lata, to miesiąc nadziei, zieleni, kwiatów, teraz chłodno, ale ociepli się i jakoś to będzie. A i było niech go Bóg kocha.

Na przypadek jednak wszelki, zabraliśmy lżejsze futra, które nie chcąc kompromitować maju ułożyliśmy na przodzie siedzenia, gniewając się cokolwiek na zbytnią troskliwość kobiecą. Na samem wyjezdnem, przyniesiono nam ogromne niedźwiedzie, dla jednego z towarzyszy, co miał nas wyprzedzić pieszo o parę wiorst za rogatki. Utworzyła się więc przed nami jakby kopa siana, z samych futer złożona, przybór jakoś niekwadrujący z majówką. Pożegnani z westchnieniem zazdrości przez zostających, wstydząc się futrzanych naszych zapasów, przebiegliśmy szybko przez Warszawę, aby nie obudzać śmiechu w skorych do żartu Warszawiakach. Tymczasem akwilonik dął, boreasz dmuchał, zefirek wyciskał łzy z oczów, zaczęliśmy się kulić, otulać, zapinać, powciągaliśmy futra... troszkę przecie milej się zrobiło. Na trzeciej wiorście za rogatkami dogoniliśmy pieszo maszerujących towarzyszy wycieczki, w paletocikach, z laseczkami i w kapeluszach letnich z białego łyczka uplecionych. Miny rzadkie, obwisłe wąsy, postawione kołnierze, skulone ręce, oczy świecące łzami, jasno świadczyły, że upał zupełnie im niedokuczał.

— Ma—ma—ma—cie futra, odezwał się jeden z trajkotem młócących zębów — a to wybornie.

— Go—go—go—ràco wcale nie jest, dodał drugi ściągając coprędzej niedźwiedzie.

— Ach! odezwał się pierwszy—gdyby tak można było wleźć w piec po chlebie, to bym skwitował na całe życie, ze wszystkich ma—ma—ma—jówek.

Jak się nam cała wyprawa powiodła, z tego łatwo możecie powziąść wyobrażenie. Przy letnich łyczkowych kapeluszach, a pierzastych futrach, wyglądaliśmy jak komedjanci, albo karykatura przeciw majowi wymierzona. Poziębły nam nogi, zgilowaciały nosy, zapomnieliśmy o motylkach, ptaszkach, bzie i lesie, a tylko marzyliśmy o kominie buchającym ogniem, ciepłym pokoju i gorącej herbacie. Marzenie spełniło się, ale majówka przepadła. Deszcz i krupeczki śnieżne przez całe dwa dni trzymały nas, jakby w oblężeniu. Przechadzka bez futer była nie podobna, w nich zaś bardzo utrudzającą, siedzieliśmy więc w domu, gwarząc i grzejąc się przy piecu. W powrocie znowu akwilony dęły, boreasze dmuchały, zefiry przewiewały, mówiliśmy ciągle o cieple, ogniu i upałach, i o naszej majówce co się nam tak prześlicznie powiodła.

Podobno w innych okolicach gorzej było, bo wieści od podróżnych głoszą o śniegach spadłych w kilkucalowej warstwie. Być więc może, że to głównie było powodem tak przerażającego zimna. Dla czego jednak zjawiły się śniegi?

Pytanie to pomijając naukę, dziś głównie mnie zajmuje z ekonomicznych względów. Pomiędzy bowiem wielu powodami, ciągle rosnącej drożyzny pierwszych artykułów żywności i zimno ma grać także nie podrzędną rolę. Radbym więc śnieg wziąść w kuratelę, żeby nam nie bruździł.

Zapytany chłopiec, iak to pisze Kurjer Codzienny dla czego za woreczek piasku domaga się piętnastu groszy, gdy dawniej taki sam sprzedawał po dziesiątce, objaśnił to podniesieniem się kurantu pruskiego. Dowcipna ta odpowiedź, dałaby się zastosować w wielu podobnych razach, w cenie galopujących jak koń wyścigowy. Wprawdzie już z Pesztu czereśnie, ze środkowej Austrji kartofelki młode i strączki, z Algieru kalafiory, a z morskich otchłani kraby, pająki i różne dziwactwa: mamy nawet jaskółcze gniazda jadalne, fortepiany aż z Ameryki i miód z Hawanny, ale mamy również, chleb zawsze niedopieczony, bułki coraz mniejsze, mięso coraz droższe, piwo jak mikstura, a mikstury przypominające wina szampańskie. Wszystko to w cenie pieprzne i słone, nieraz było przedmiotem moich rozmyślań. Często zapytuję siebie, dla czego tak łapczywi jesteśmy na różne nowalijki i delikatesy? Dla czego radzą nam lód ściągać aż z Norwegji, strasząc brakiem jego z powodu lekkiej tegorocznej zimy?

Zadumany nad temi prawdziwemi łamigłówkami, których rozwiązanie warte więcej niż konia z rzędem, rzuciłem myśli w daleką przeszłość, i w przelocie tym łącząc schwytane obrazy z obecnością, dojrzałem jakky zaczarowane kółko, coraz niby szersze zakreślające kręgi, ale zamknięte szczelnie przed jasnem słońcem prawdy. Wirująca w niem ludzkość tłoczy się, popycha, depcze i zadeptuje, owe kręgi to się rozszerzą, to ścieśnią, ale stoją jak mur, twarde jak granit. Czyż nie ma sposobu aby je zmiękczyć, złagodzić, w końcu rozerwać i potargać, a promień co je zatacza przedłużyć, po nad nierozum człowieka i jego samolubstwo?

Rada już była gotową, ale mi nadesłano wiadomość, drobną na pozór i skromną w swych szczegółach, ale zasługującą chociaż na malutką wzmiankę.

W drugi dzień Zielonych Świątek, gronko Warszawianek i Warszawiaków, wybrało się w pieszą podróż do Czerniakowa. Byli to po większej części amatorzy śpiewacy, zwolennicy chóralnego śpiewu, Czy podczas drogi, piosnkami gronko amatorskie wtórzyło pochodowi, o tem sprawozdawca nic nie donosi. Może nie chcieli ciszy świątecznej zagłuszać światową pustotą, zwłaszcza że pielgrzymów zapewne nie brakowało.

Po przybyciu do Czerniakowa, artystyczne gronko udało się na chór i w czasie Summy, rozpoczęli chórem przy towarzyszeniu skrzypiec mszę Stefaniego, w której sola wykonane były przez p. Matyldę Est.... p. Klementynę Ry..... i p. Bernarda Mu.... Zgodność, czucie, wysokie wyrobienie artystyczne zachowały piękne wykonanie religijnego utworu czemu wszystkiemu sprawozdawca największe oddaje pochwały.

Żałuję mocno że nie byłem ani świadkiem ani uczestnikiem tej artystycznej wycieczki.

ŁZY I WESTCHNIENIA

(z Czelakowskiego).

Gdyby wszystkie łezki
Razem się zebrały,
Które me za tobą
Oczy wypłakały —
Luby! wszystkie łąki nasze.
Oneby zalały...

Gdyby te westchnienia
Wraz się zgromadziły,
Które się za tobą
Z piersi méj wznosiły —
Luba! dzwony naszéj wieży
Same by dzwoniły!

Adam Maszewski.



Korrespondencja z Paryża.

Niedawno mieliśmy sposobność widzieć bardzo ładne kapelusze, stroiki, szmizetki i t. p., przeznaczone do magazynu pana Bortkiewicza, dawniéj pani Klementyny, te więc szczegółowo opiszemy. Zacznijmy od kapeluszy.

W ogólności forma ich rozmaita. *Lamballe*, *Pamele*, *fanszoniki*, *empire*, w tem tylko zbliżone do siebie, że wszystkie nadzwyczaj małe. Trzeba przyznać jednak, że pomimo tak małych rozmiarów każdy kapelusik trzyma się dobrze na głowie i przypada bardzo do twarzy. Przystąpmy do szczegółowego opisu tych, które nam się najwięcéj podobały.

Kapelusz *Lamballe* z cienkiéj słomy w naturalnym kolorze, przybrany wstążką *maïs*, takież szarfy szerokie do wiązania. Nad czołem podpięcie z pliski pąsowéj aksamitnéj, boki wcale nie nagarnirowane blondynką. Od jednego boku do drugiego przechodzi łańcuch *Bénoiton* z drobnych pąsowych kwiatków.

Biały sparterowy, podgarnirowany szczoteczką z materji niebieskiéj, wystrzyganéj w ząbki. Nad czołem girlandka z habru. Na wierzchu kapelusza takaż girlandka. Szarfy szerokie z wstążki niebieskiéj *chinée*.

Kapelusz słomkowy *Marie Stuart*, z zębem na przodzie, zachodzącym pomiędzy nioby. Na owym zębie, przypięty wielki bratek, od niego rozchodzą się brzegiem ronda na obie strony, dwa grube kłosy. Wierzch kapelusza przybrany barbką koronkową. Szerokie szarfy koloru *maïs* przepięte pod brodą wielkim bratkiem. Oprócz tego lekko przewiązane końce barbki koronkowéj.

Kapelusik maleńki z brzegiem słomkowym, środek z koronki czarnéj, spód podpięty różą różową.

Kapelusz illuzjowy biały *Lamballe*. Na wierzchu upięte jakby gniazdeczko z delikatnych białych kwiateczków, rozchodzących się do koła. Przez wierzch przerzucona lekko biała illuzja, tworząca szerokie szarfy. Oprócz tego szarfy z wstążki białéj do związania pod brodą. Nad czołem podpięcie z drobnych białych kwiateczków. Grelotki kryształowe w koło ronda.

Pamela słomkowa, ubrana z wierzchu aksamitką czarną, przepinaną broszami ze słomy. U końców aksamitek grelotki słomkowe. Podpięcie nad czołem składa się z rulonu czarnego aksamitnego; w odstępach wpięte trzy brosze odpowiednie. Szarfy czarne zakończone słomkową frendzelką.

Kapelusik fanszonik cały pokryty fijołkami, brzegiem ronda spadają grelotki lawowe; fijołkowe szarfy do wiązania.

Fanszonik biały bastowy. Z wierzchu przypięty kwiat szamoa z pięknym liściem, pod spodem takież podpięcie.

Kapelusz bastowy *Lamballe*, ubrany czarną aksamitką, podpięcie z białych asterków, po bokach spadają szerokie końce illuzjowe, spięte na warkoczu w tyle głowy. Wstążki białe służą do związania pod brodą.

Czepeczki i ubiorki na głowę mają zupełnie formę teraźniéjszych kapelusików, tak że na pierwszy rzut oka, jednych od drugich trudno odróżnić. Do najmodniejszych należą denka koronkowe, przybrane kwiatami podobne do kapelusików *Lamballe*, do mniejszego ubrania fanszoniki z zębem na czole *à la Marie Stuart* powszechnie używane. Dajemy tu opis bardzo ładnych ubiorków z magazynu pana Bortkiewicza.

Ubiorek w kształcie denka, naszyty aksamitką niebieską, w koło nagarnirowana lekko blondynka biała. Nad czołem diadem z niebieskiego aksamitu. Do bo-

ków przytwierdzone długie szarfy, z tiulu jedwabnego w muszki, przechodzące na tył głowy i spojone razem. Na wierzchu denka kokarda niebieska, z pod denka spadają długie końce z wązkiéj wstążki.

Katalanka ogarnirowana czarną koronką z zębem wpadającym pomiędzy nioby. Diadem z czarnéj aksamitki, z boku przepiętéj różą różową. Z tyłu także kokarda, czarna aksamitna z różą wpośrodku.

Czepeczek fanszonik biały illuzjowy, z zębem spadającym na czoło. Na tym zębie płaska kokarda z wstążki czarnéj. Nad samem czołem idzie diadem z pąsowych maczków polnych, po bokach spadają barbki blondynowe białe. Łańcuch słomkowy *Benoîton* przechodzący od jednego boku do drugiego dopełnia ubrania.

Stroik czarny w kształcie denka nagarnirowany koronką czarną, w środku gwiazda z sieczki czarnéj, zrobiona na druciku, zwana pająkiem morskim. Z boku wpięta róża. Na tył głowy spadają dwie wstążki czarne przepięte kokardą.

Ubiorek biały z tiulu jedwabnego, na czoło zachodzi ząb przybrany diademem z białych konwalji i liści lilla z białem. Na warkocz spada nie wielki woalik ogarnirowany blondynką, przytwierdzony odpowiednim bukietem.

Fanszonik dla starszéj osoby, czarny koronkowy, ze spadającemi po bokach końcami. Nad czołem djadem z wstążki lilla, ułożony sztucznie, i przepinany grelotkami czarnemi. Łańcuch *Bénoîton* lawowy dopełnia całości.

Fanszonik z tiulu jedwabnego w ząb nad czołem; przybrany diademem z niezapominajek; łańcuch *Bénoîton* z tychże kwiateczków, przechodzi od jednego boku do drugiego.

Wszystkie w ogólności ubiorki, czepeczki i kapelusze odznaczają się prawdziwie dobrym gustem. W negliżowych czepeczkach uważaliśmy najwięcéj fanszoników, przybranych rozetami z wstążki lub aksamitki.

Z pomiędzy sukien z paletocikami z rozmaitych letnich wyrobów, zwróciła uwagę naszą biała muślinowa przybrana koronką kluni. Tu dodamy że suknie białe nadzwyczaj będą w tym roku używane.

Suknia ta a raczéj spódniczka, krajana w kliny miała u dołu wolant szeroki na półtory ćwierci, z obrębem, z wypuszczoną do góry główką. Na każdym zszyciu brytów, wszyta była wstawka kluny. Po obu zaś stronach wstawki, szła wąziuchna na palec falbaneczka muślinowa, rurkowana w delikatne rurki. Miejsce stanika zastępował paletocik do figury, przeszywany tak samo jak spódnica wpodłuż taką samą wstawką. Po bokach paletocika odznaczone były kieszonki wstawką koronkową.

Suknia jasno popielata *chînée Lenosowa* miała spódnicę kolistą, wyciętą u dołu w wielkie zęby półokrągłe ,oznaczone plisą z materij lila; na każdym brycie wypadał ząb jeden. Przedni ząb szedł wyżéj od innych przynajmniéj na pół łokcia. Od stanu spadały dwie szarfy lilla, które dochodziły do boków tegoż zęba, tworząc jakby fartuszek. Miejsce stanika zastępował paletocik do figury z podciętemi i zaokrąglonemi bokami, żeby nie przysłaniać przodu spódnicy. Paletocik ten przybrany był plisą lilla i pukielkami z lilla wstążki. Pod spód szła kamizeleczka spięta na perłowe guziki, objęta plisą. Odpowiednie plisy z pukielkami na ramionach i u ręki dopełniały przybrania.

Podobały nam się też bardzo koszulki białe muślinowe w rozmaitym rodzaju, przeznaczone dla młodych osób do kolorowych spódniczek. Jedna z tych koszulek przeszywana była w podłuż wstawkami z koronki kluni. Wstawki te dochodzące od ramion do połowy gorsu, podwleczone były aksamitką czarną. Od miejsca gdzie się wstawki kończyły, spadały pukielki z aksamitki.

Inna koszulka także muślinowa, miała daną przez środek listewkę na dwa palce, z cienkiego webowego płótna spiętą na rząd guzików. Za tą listewką szła koroneczka kluni. Kołnierzyk także płócienny, zarówno jak mankiety, ogarnirowany był koroneczką.

Trzecia koszulka muślinowa, miała u dołu jakby gorsecik z białéj piki.

Uważaliśmy także piękny dobór pasków różnokolorowych do sukien, przerabianych w kamee, albo w łańcuchy *Benoîton*; ładne woaliki białe i czarne, średniéj wielkości zaokrąglone u dołu, zwężone nieco w górze; pelerynki muślinowe ścięte czworograniasto, do włożenia na wyciętą suknią, ogarnirowane koronką kluni i takież kaftaniki.

W wielkim doborze kwiatów, najwięcéj było drobnych, tworzących wąziuchne girlandki czyli tak zwane łańcuchy *Benoîton*.

S. D.

ROZMAITOŚCI.

KWIATY I OWOCE.

(*Dalszy ciąg.*)

Powiedzmy teraz słówko o hodowaniu cebulek kwiatowych w wodzie. Z pomiędzy wszystkich najlepiéj w ten sposób udają się *Hyacenty*. Zwykle pomiędzy doniczkami Krokosów i Tulipanów, stawiają na kominku lub na konsoli naczynia szklanne, napełnione wodą z posadzonemi w niéj Hyacentami. Cebulki te sadzić należy w środku Września, aby zakwitły w zimie. Ráz posadzone nie potrzebują więcéj żadnych starań, należy tylko dopełniać naczynia wodą, któréj ubywa w miarę, jak ją kwiaty wciągają w siebie, jakoteż przez ewaporacją. Nie trzeba dolewać zupełnie zimnéj wody, wprawdzie nie szkodzi ona kwiatom, ale opóźnia czas kwitnięcia. Najlepiéj dolewać taką, która stała w ciepłym pokoju.

Umieściwszy cebulki w wodzie, najlepiéj trzymać je z początku w chłodniejszym pokoju, gdzieby temperatura, nie przechodziła dziesięciu stopni. Tym sposobem pąk kwiatowy rozwijać się będzie równo z liśćmi, przeciwnie zaś cebulki trzymane od razu w cieple, wypuszczą wprzód liście kosztem kwiatu. Po dwudziestu lub dwudziestu pięciu dniach, można przenieść naczynia na konsolę albo kominek, do mo-

cniéj ogrzanego pokoju. Inną jeszcze należy zachować ostrożność. Kominek zwykle jedną stroną, bardziéj jest niż drugą wystawiony na działanie światła. Trzeba zatem co parę dni zmieniać miejsce hyacentom, aby wszystkie zarówno ze światła korzystały. Trzymając się najściśléj tych przepisów, można wyhodować piękne hyacenty w wodzie.

Oprócz Hyacyntów, można także hodować w wodzie Narcyzy, Żonkille i Amarylle karmazynowe, obchodząc się z niemi w ten sam sposób, jakiśmy wskazali dla Hyacyntów.

Krokusy nie udają się w wodzie, lecz można nałożyć mchem koszyczek drucianny, i w tym mchu posadzić kilkanaście cebulek krokusowych, które zakwitną w nim tak jak w ziemi, jeśli będą dwa razy na dzień polewane.

Cebulki tak Hyacyntów, jak i Krokusów, nie giną wcale skutkiem forsownego pędzenia, trzeba tylko wydobyć je ze mchu lub z wody zaraz po okwitnięciu, wysuszyć dobrze, a w jesieni wsadzić je do gruntu lub w doniczki. W następnym roku zapewne nie zakwitną, lecz odpocząwszy przez rok wydadzą znowu piękne kwiaty.

(d. c. n.)

Opis ryciny.

Pierwsze ubranie. Suknia jedwabna szara, krajana w kliny, bryty przedłużone stopniowo tworzą jakby schodki u dołu. Plisy jedwabne koloru (rose du roi) obejmują każdy bryt u dołu i przeszło na łokieć w górę. Po obu stronach przodu, przechodzi plisa wzdłuż spódnicy. Stanik z długą baskiną w schodki, rozchodzi się z przodu. Rękawy ścięte do łokcia objęte u ręki plisą. Kapelusz biały z tiuln jedwabnego. Nad czołem plisa aksamitna (rose du roi) z boku egretka z kwiatów i trawy. Szarfy białe.

Drugie ubranie. Spódniczka niebieska fularowa. Koszulka biała tiulowa powleczona koronką. Gorsecik szwajcarski czarny jedwabny, obszyty w górze ruszą koronkową. Szarfa niebieska z długiemi końcami. Ubranie głowy, złożone z kokardy niebieskiéj nad czołem i barbki czarnéj koronkowéj, spadającéj na warkocz.

(W magazynie panien Kuhnke widzieliśmy czarną atłasową suknią zupełnie tak samo zrobioną jak popielata. Bryty objęte były u dołu czarnym aksamitem z białą wypustką.)

KORRESPONDENCJA.

Pani Plu. Noworocznik wydania pana Dzwonkowskiego, ani też drugi tom Biblioteki Popularnéj nie wyszły w tym roku. Inne książki posłane jeszcze 19 Kwietnia r. b.

Pani Z. Słot w Rawaniczach.

Pani J. Czar.

Pani Marij Ada. w Ekatary.

Pani Karo. Udy. w Stawi.

Pani Zoto. w Tobolsku.

Sprawunki wysłane zostały.

Pani A. Czos. Za mappę i książkę należy się rs. 3 kop. 35.

Panu Sarjuszowi Zale. Do opłaty pocztowéj przesłanéj książki dołożyliśmy złp. 2 gr. 24.

Pani J. Czar. w Mikuło. Sprawunki kosztowały rs. 10.

Pani Karolinie Lip. Za przesłaną formę należy się kopiejek 60.

— Do przeszłego Nr. *Tygodnika mód*, dołączone było na prowincję obwieszczenie: o wydawaniu *Gazety Rolniczéj* i *Opiekuna domowego* które to pisma na każdéj stacji pocztowéj, w królestwie polskiem, Austrji i Prusach prenumerowane być mogą. Prenumeratorowie z Cesarstwa, do Redakcji wprost zgłaszać się winni. (N. 7233).

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nr. 22 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 21 Maja (2 Czerwca) 1866 r.

PAMIĘTNIK MŁODEJ MĘŻATKI

PRZEZ

WIKTORA CHERBULIEZ

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg.)

Wierzaj mi, moja najmilsza, za chwilę możesz utonąć, ale czas jeszcze, podaję ci deskę zbawienia, korzystaj z tego, a będziesz ocaloną i zwycięztwo przy nas pozostanie. W przeciwnym razie pozostawię cię twemu losowi, i zanim tydzień upłynie zagrzebię cię w grobie zapomnienia.

„Bywaj zdrowa, moja miła, mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy.“

List ten sprawił mi straszną boleść, a jednak nie zawierał w sobie nic czegobym sama nie odgadywała, na co nie byłabym przygotowaną.

Odczytywałam go ciągle powtarzając machinalnie: „*przybywaj jak najprędzéj*. Pani Ferjeux pisze to poważnie, bez żartów; rachuje na moje przybycie.“ Myśl ta oburzała mnie, pomimo to wyjechałam nazajutrz. Po co? Tego nie umiem powiedzieć. Zapytaj zeschłego listka pędzonego wiatrem, gdzie i po co leci.... Dziś ta czterodniowa podróż, snem mi się być zdaje, nie wierzyłabym sama, gdyby nie kilka ćwiartek papieru napisanych po powrocie, które tu załączam.

„Więc to prawda! wracam z Paryża, naprożno duma moja sprzeciwiała się temu; naprożno wołała: nie powinnaś tam jechać. Na jéj rozkazy, jęki i błagania odpowiadałam ciągle: Muszę go widzieć, muszę z nim pomówić. Co chciałam powiedzieć? nie wiem, nie zapytałam o to saméj siebie. Straciłam rozum i wolę; jakiś ślepy, nieprzezwyciężony pociąg, kierował memi krokami. Co się wtenczas działo w mem sercu, w méj duszy, tego ani powtórzyć ani zrozumieć nie zdołam; wir jakiś pochwycił mnie i uniósł... Pozostało mi zaledwie dość przytomności, aby oznajmić Małgorzacie że na parę dni wyjeżdżam do ojca; spojrzała na mnie zdziwiona ale nie śmiała żadnych czynić uwag.

Jadąc z Lestang do Paryża, widziałam wielkie pola pokryte śniegiem, które w pomroce nocnéj wydawały mi się jak olbrzymie białe plamy. Oprócz mnie siedziało jeszcze w wagonie kilka osób, śmiejących się, szczęśliwych. Ktoś przemówił do mnie, nie wiem czy i co odpowiedziałam. Noc wydała mi krótką; chwilami nie wiedziałam gdzie jestem, rękami dotykałam się czoła, chcąc zapewnić się że nie śpię.

Ze wschodem słońca stanęłam w Paryżu. Ziębła drżąca, kazałam zawieść się do jakiegoś hotelu. Zaledwie wysiadłam, siły opuściły mnie zupełnie. Nierozumiałam saméj siebie; nie mogłam pojąć po co przyjechałam do Paryża. Przez cały dzień siedziałam nieruchoma jak posąg, pogrążona w bolesnem jakiemś odrętwieniu.

Wieczorem odzyskałam trochę odwagi i przytomności; kazałam sprowadzić powóz i pojechałam. Już jestem na téj ulicy.... oto dom jego.... Sądziłam, że serce wyskoczy mi z piersi. Wysiadłam z powozu... staję przed drzwiami.. chcę zadzwonić.. nie podobna.. chciałam podnieść rękę, opadła bezsilna na samą myśl, że on tam jest, że zobaczę go za chwilę.... Mój Boże, cóż mogłam mu powiedzieć? Odeszłam, wróciłam, i znów odeszłam. Wsiadając do powozu, zobaczyłam dwóch mężczyzn stojących po przeciwnéj stronie ulicy, na przeciw domu do którego wejść nie miałam siły; rozmawiali z sobą. Jeden znich był odwrócony odemnie.... Oh! jakiż dreszcz przebiegł mnie całą. Jak dobrze widziałam go pomimo ciemności! Jak łatwo poznałam go na pierwszy rzut oka! jak wszystkie zadane przez niego rany odezwały się razem w mojem sercu, wołając: To on!... Powóz ruszył; pomiwolnie wychyliłam się przez drzwiczki; nie odwrócił głowy, nie widział mnie; był zajęty, rozmawiał; zdawało mi się, że słyszę śmiech jego.

Wróciwszy do hotelu, zaleciłam, aby mi dano znać kiedy będzie czas jechać do kolei; zapomniano widać o tem, ja zaś wpadłam w tak głębokie zamyśleuie, że pociąg odszedł zanim pomyślałam o wyjeździe. Trudno mi było odetchnąć, otworzyłam okno. Gdzież on jest teraz i z kim? myślałam, patrząc na przechodzących; często zdawało mi się, że słyszę go mówiącego, śmiejącego się.... Potem, odurzona turkotem powozów, krzykami, śpiewami, całym tym hałasem ulicznym; patrzyłam bezmyślnie na te cienie pędzące gdzieś i potrącające się wzajemnie.... Czemże jest to wielkie miasto? Potworną maszyną poruszaną niewidzialnemi sprężynami, a służącą do zadawania mąk i zabijania serc.

W końcu zasnęłam znużona, po chwili przebudziłam się nagle; wiedziałam już co mam powiedzieć Maxowi. We śnie wymówiłam kilka słów, Max je posłyszał, i widziałam go bladego, zmięszanego, — lecz po przebudzeniu, naprożno starałam się przypomnieć sobie te czarodziejskie słowa, a jednak otwierając oczy słyszałam jeszcze dźwięk ich w powietrzu.

Nie, nie pojadę jeszcze, powiedziałam, obudziwszy się rano; jeśli z nim mówić nie będę, to przynajmniéj

chce wszystko wiedzieć. Opanowała mnie jakaś pożerająca ciekawość, a jakkolwiek dziś mnie to samą zadziwia, postanowiłam widzieć się z panią Ferjeux i od niéj wszystkiego się dowiedzieć. Chciałam usłyszeć z jéj ust najdrobniejsze szczegóły owéj, jak się wyraziła, awanturki; chciałam zapytać ją o nazwisko, dzień i godzinę, i co o tem mówiono, i czy ta kobieta bardzo była piękną... Czułam, że te wiadomości staną się dla mnie trucizną, ale pragnęłam wychylić jéj czarę. O! jakże w téj chwili błogosławię przypadek który pomięszał moje zamiary. Kiedy wchodziłam do domu pani Ferjeux, odźwierny zupełnie mi nieznany, powiedział mi, że nie będzie kto miał oznajmić mego przybycia, że pani baronowa przed paru dniami poodprawiała służących, mówiąc, że ją znudziły ich fizjognomije. Idąc daléj znajduje drzwi otwarte; wchodzę do salonu; dwie osoby rozmawiały w przyległym gabinecie. Pewną byłam, że on tam jest, choć jeszcze jego głosu nie słyszałam. Stanęłam jak wryta.

— Proszę cię, choć raz mnie posłuchaj. Czas już zakończyć te dąsy; pisałam do Izabelli żeby przyjechała, i z pewnością przyjedzie.

— A ja zaręczam, że nie przyjedzie, odpowiedział śmiejąc się. Nie znasz pani jeszcze jéj pysznéj obojętności!.. Po chwili dodał cierpko i dumnie:—Zresztą nie pojmuję jak może panią tak bardzo zajmować takie dzieciństwo.

„*Takie dzieciństwo*! Ach! ileż siły dodały mi te wyrazy! Jakiż dobroczynny wpływ wywiera czasem pogarda! *Takie dzieciństwo!* Słowa te odrazu wróciły mi siłę woli, odwagę, dumę; dusza moja odzyskała swoją samodzielność; znikło odrętwienie, w téj chwili nic nie było mi niepodobnem. O! niechaj się nigdy nie dowie, że tu byłam! Serce moje tego już tylko pragnęło; gdyby mnie dostrzeżono, umarłabym ze wstydu. Uciekłam stąpając na palcach, dech nawet powstrzymując, zdawało się, że mi skrzydła przyrosły, że mury rozstępowały się przedemną aby mi nie tamować przejścia. We trzy godziny późniéj wyjechałam z Paryża.

„Po cóż ja tam jeździłam? Omyliłam się; tak, nic, nic nie miałam do powiedzenia, ani jednego słowa, tak, ani jednego; chciałam się tylko przekonać czy jest zdrów i wesoły, zapewnić się że żadne wspomnienia nie zatruwają mu życia, że uważa je jako *dzieciństwa godne śmiechu.* Dwa razy słyszałam śmiech jego. Niech nikt nie mówi, że to był sen tylko....“

XVIII.

W kilka dni późniéj z zadziwieniem ujrzałam panią d'Estrel wchodzącą do salonu. Wiedziałam, że tak z powodu słabości zdrowia, jak przez lenistwo, tylko w nadzwyczajnych wypadkach wyjeżdżała z domu. Cóż tak ważnego miała mi powiedzieć? Zkąd to wzruszenie i ten widoczny niepokój malujący się w jéj twarzy? Czemu przypatruje mi się tak ciekawie? — Pani wyjeżdżałaś na kilka dni? zapytała się w końcu.

— Czyż pani nie powiedziano, że jeździłam do ojca?

Nic nie odpowiedziała i stosownie do swego zwyczaju, nie od razu przystąpiła do rzeczy. Po chwili rzekła—przynoszę wiadomości, pani Mirveil....

— O! łaskawa pani, więcéj stokroć może zajmowałyby mnie wiadomości z Kochinchiny.

Odpowiedziała, że to co ma powiedzieć, więcéj mnie obchodzi niżeli myślę; pomimo woli musiałam słuchać jéj opowiadania.

Pani Mirveil jest u siebie, nie wyjeżdżała nigdzie; Brygita, stara jéj sługa, wiernie dochowała tajemnicy. Nawet pan de Malombré dał się wywieść; w pole po raz pierwszy zawiodły go jego Argusowe oczy. Kiedy wszyscy sądzili, że przebywa w Paryżu, ona ukrywała się we własnym domu, zamknęła się w swym pokoju, pospuszczała firanki, pozamykała okiennice i przesiedziała tak całe dwa miesiące. Nagle wiatr z innéj zawiał strony: kazała pootwierać drzwi i okna, a sama udała się do Chamaret, i zanim pani d'Estrel zdążyła powiedzieć, że nie życzy sobie aby ją odwiedzała, upadła jéj z płaczem do nóg.

— Jestem biedną, nieszczęśliwą istotą! rzekła. Nie znam nikogo coby choć trochę miał dla mnie przychylności. Zabiję się, jeźli mnie pani odtrącisz!

Jakkolwiek pani d'Estrel nie wierzyła téj groźbie, musiała jednak przyznać, że pani de Mirveil bardzo była zmienioną; twarz jéj zbladła, zeszczuplała, nie miała na sobie świecideł, nie robiła już zalotnych minek, a ciemna suknia pod szyję, z długiemi rękawami, nadawała jéj postać dewotki. Pani d'Estrel posadziła ją przy sobie, a piękna Lewantynka zalewając się łzami, opowiedziała jéj swoje życie, wyznała słabości i błędy. Prawdę mówiąc, nie można ją tak bardzo obwiniać. Matka jéj najmocniéj była przekonaną, że córka jéj dostateczne odbierze wychowanie skoro ją nauczy strzelać oczyma i na wędkę swych powabów złowić sobie męża. W tym celu wtajemniczyła młodą Ewelinę w sztukę zalotności, uczyła wabić oczyma, przynęcać uśmiechem. Kiedy przyszła chwila korzystania z nauk, z pomocą matki zarzuciła wędkę na którą złapała się płotka, rzucono ją z pogardą w wodę. W końcu duża ryba chwyciła przynętę. Matka i córka cieszyły się zwycięztwem; pan Mirveil uchodził w ich oczach za pysznego szczupaka, pokazało się, że był tylko dużym karpiem. Sztuka zamydlania oczu wysoko stoi w Lewancie; lecz jeśli pan Mirveil nie był Krezusem, to przynajmniéj ubóstwiał żonę, która w końcu przywiązała się także do niego. Przywiózł ją z sobą do Europy; w dwa lata późniéj zabił się spadłszy z konia. Nie długo opłakiwała jego stratę; w umyśle jéj wylęgła się myśl szalona, nie dająca jéj spokoju w dzień i w nocy. Powtarzała sobie bez ustanku: „Jeśli tylko zechcę, zostanę margrabiną de Lestang.“ Napisała to matce, która uwierzyła od razu i dotąd nazywa ją w listach swoją ukochaną margrabiną.

Wyznała pani d'Estrel, że to ją najwięcéj przywodziło do rozpaczy, iż nie mogła zarzucić panu de Lestang, że ją oszukał.— Nigdy, mówiła, nie zrobił mi najmniejszéj nadziei. Ufałam swéj zręczności, ale miłość pozbawiła mnie przezorności, byłam tylko słabą i sama się zgubiłam. Nigdy sobie pani nie zdołasz wyobrazić co uczułam odebrawszy wiadomość o jego ożenieniu; chciałam zabić, a przynajmniéj zeszpecić moją szczęśliwą rywalkę. Zobaczyłam ją i uspokoiłam się trochę: zdawało mi się, że nie może porównać się ze mną i przyznaj pani, że nie jest tak piękną jak ja. Wystawiałam sobie, że ze strony pana de Lestang był to tylko jakiś wyskok, którego nie długo żałować

będzie. W marzeniach moich, widziałam go padającego do nóg moich, zaklinającego abym go pocieszyła, abym mu wybaczyła chwilowy obłęd, i obiecywałam sobie, że za moje cierpienia odpłacę mu nielitościwie, kokieterją, że z rozpaczą jego igrać będę jak kot z myszą. O jakże źle go znałam! Po powrocie w te strony odwiedził mnie, ale postępował ze mną jak z naprzykrzonem dzieckiem, które skarciwszy chcą pocieszyć ciastkami.... Raz znów wieczorem, kiedy podług mego zwyczaju, zdrzymałam się w fotelu nie zamknąwszy drzwi i okien... Nie, to nie był sen, to on stał przedemną!... Twarz jego przestraszyła mnie. Jakiż dziwny miała wyraz. Wszedł przez okno, przychodził do mnie, nie po to aby błagać miłosierdzia, ale jako pan i zwycięzca. Czegoż chciał? Czego się spodziewał? Za kogóż mnie uważał?...

Mówiąc te słowa, jak Magdalena zalała się łzami; podług pani d'Estrel, zarówno ją dręczyła myśl, że Max wyobraża sobie, że bez trudu uzyskałby zupełne przebaczenie, jak równie że wszedłszy do niéj, nie chciał o nie prosić.

„Te nocne odwiedziny obruszyły mnie głęboko. Pan de Lestang, mógł wyobrazić sobie, że gdyby tego chciał stałabym się igraszką jego kaprysów! ja! co tylko o tem marzyłam, aby go zobaczyć u nóg moich, błagającego przebaczenia i zrozpaczonego odmową! Pisałam do niego list po liście; chciałam go widzieć koniecznie, wyszydzić jego zarozumiałość. Nie odebrałam odpowiedzi. W końcu doszłam do tego stopnia szaleństwa, że potajemnie wkradałam się do parku de Lestang, sądząc że go tam spotkam, że będę miała sposobność wyrazić jak dalece nim pogardzam; wszakże i tym sposobem nie doszłam do celu moich życzeń. W miejsce margrabiego spostrzegłam raz jego żonę. Wiedziałam, że jest równie jak ja nieszczęśliwą; nie miałam już powodu nienawidzieć jéj, mogłam przypatrywać się z zimną krwią. Była sama i zdawała się upadać pod ciężarem smutku. Raz jeszcze powtarzam, że co do piękności nie może porównywać się ze mną; ale w jéj całem ułożeniu, w jéj postawie, w jéj ruchach jest cóś takiego... Cóż powiem więcéj? To spotkanie wywarło we mnie jakąś nagłą, dziwną zmianę; pierwszy raz w życiu osądziłam się sama.

Zaraz po powrocie do domu, położyłam się w łóżko; nazajutrz nie miałam odwagi powstać z niego; wstydziłam się méj przeszłości i stanowiska jakie sobie wyrobiłam w świecie, potrzebowałam ukryć się przed ludźmi, obawiałam się ich spojrzeń. Dwa miesiące przesiedziałam w ciemnym pokoju, płacząc i rozmyślając nad swem położeniem; w końcu zastanowiłam się że to wiecznie trwać nie może, zapragnęłam zobaczyć kogóś coby choć trochę miał dla mnie przychylności. Dziś rano, przypomniałam sobie, że pani kiedyś byłaś dla mnie dość łaskawą, że nie jedną dobrą radę, nie jedną przestrogę odebrałam już od pani. Może zraziłam panią swoją lekkomyślnością, lecz nie odpychaj mnie, wyciągnij do mnie rękę, poradź mi, dopomóż, wszak widzisz że zupełnie się odmieniłam."

Mówiąc to, upadła znów na kolana z oznakami tak przesadnéj pokory, że pani d'Estrel była zmuszoną połajać ją, i rozkazać aby powstała: — Obudziłaś we mnie współczucie, rzekła do niéj, jesteś lepszą niż sądziłam; jest zawsze coś szlachetnego w duszy zdolnéj osądzić się surowo. Otrzéj oczy, uspokój się, i powiedz jakie są na przyszłość twoje zamiary?

— Matka radzi mi abym do niéj wróciła. Pisze że chciałaby uściskać swoją ukochaną margrabinę, bo już do śmierci pozostanę dla niéj *margrabiną*. Wiem że tam niestworzone historje popowiadała swoim znajomym, nie będę ich zbijać; powiem że margrabia przeniósł się do wieczności.

Pani d'Estrel, radziła jéj, aby spełniając życzenia matki, wróciła do kraju odgrywać rolę margrabiny. W przeciwnym razie, dodało, nie pozostaje ci nic innego, jak tylko zaślubić pana de Malombré, do czego nie chciałabym cię namawiac.

— Zaślubić pana de Malombré! Wolałabym kazać zamurować się w wieży! Dwadzieścia razy dałam mu słowo, dwadzieścia razy cofnęłam go napowrót. Oburzył mnie ciągłem szpiegowaniem każdego mojego kroku; nie mogłabym nigdy przyzwyczaić się do niego. Zresztą on nie wart tak pięknéj jak ja żony. Cóżby moja matka pomyślała o swéj ukochanéj margrabinie? Przyznaję że pani masz słuszność, że wyjechać trzeba, ale bez pieniędzy nie mogę puszczać się w drogę, a pani wiesz dobrze że mała posiadłość pozostawiona mi przez pana Mirweil, stanowi cały mój majątek. Mój Argus kupiłby ją chętnie nie bardzo się targując, gdyż wie że posiadaczowi służy prawo przejeżdżania przez jego posiadłości. Nieszczęściem, weszła mu w głowę szczególniejsza spekulacja, zamierzył koniecznie nabyć ziemię wraz z jéj właścicielką, może więc nie zechce ułatwić mi wyjazdu kupując moją winnicę, która dla niego tylko może mieć jakąś wartość.

„Przyrzekłam, powiedziała pani d'Estrel, że jéj dopomogę, że sama pomówię z panem de Malombré, a gdyby się bardzo targował lub wzdragał, zagrożę mu że kupię winnicę. Biedna kobiecina rzuciła mi się na szyję płacząc i śmiejąc się razem, powiedziała, że jestem wzorem dobroci, że jéj zachowałam życie, lecz żegnając mnie zawołała: Wyjeżdżając tego tylko żałować będę że nie mogłam się zemścić. Szczęściem pani de Lestang mnie wyręczy.

„Te słowa zastanowiły mnie; pytałam co mają znaczyć, ale nie chciała powiedzieć. Jeśli nie chcesz utracić méj przychylności, powiedziałam, porzuć te wszystkie naganne uczucia.

„Nazajutrz przybył pan de Malombré! Dom mój jest rozerwoarem do którego zbiegają się wszystkie smutki i zmartwienia z całéj okolicy. Zwykły przywilej kobiet w wieku, zapatrujących się na życie bezinteresownem okiem! Nigdy jeszcze sąsiad mój nie był tak posępnym, nigdy jeszcze nie wzdychał tak ciężko; ale też rzeczywiście ważne miał powody smutku, przez dwa miesiące pomimo swéj lunety nie potrafił odkryć że pani Mirveil była w domu; na pierwszą o tem wiadomość pobiegł ofiarować jéj raz jeszcze swe wierne serce, dotąd nie zrażone jéj srogością, i znów został odepchniętym, nie pozostawiono mu nawet nadziei. Pocieszałam go jak mogłam, przedstawiłam że nie powinien tego żałować, że odaliska nie zapewniłaby mu szczęścia, że dla niego potrzeba kobiety rządnéj i gospodarnéj. Zresztą choć Emelina wyjedzie, pozostanie jéj winnica, którą pan korzystnie będziesz mógł nabyć.

„Odpowiedział mi sentymentalnie przewracając oczy: Niech kto chce kupuje winnicę! Ja chciałam

serca jéj właścicielki. Po czem zaczął mi wyliczać jak straszne przecierpiał męczarnie niewzajemnéj miłości.

— Jakże się cieszę przerwałam, że pan nie masz zamiaru kupić téj posiadłości, zawsze miałam na nią ochotę, ale nie chciałam panu przeszkadzać, dziś, mogę wejść w układy z panią Mirveil.

Spojrzał się na mnie zdziwiony, lecz nic nie odpowiedział. Gniew jego wzmagał się co raz bardziéj, w końcu doszedł prawie do szaleństwa. Kiedy zaczął mówić o panu de Lestang, pioruny z ust jego leciały, nazwał go „niegodziwcem, który mu wydarł szczęście.“ Po tem z wielkiem mojem zdziwieniem zaczął wyrażać się o tobie z największą goryczą i gwałtownością.... Jakiż żal może mieć do ciebie?

— Piękna margrabina, chce uchodzić za świętą; rzeczywiście jest tylko kokietką, serdecznie mnie to cieszy, mogę bowiem być pewnym, że się za mnie zemści.

„Przypomniało mi to sława pani Mirveil, chciałam dowiedzieć się ich znaczenia. Powstałam na pana de Malombré, żądając aby objaśnił lub cofnął swoje wyrażenie. Był tak rozjątrzony, że nic nie potrafiłby zamilczyć; opowiedział mi więc, że kilka razy dostrzegł pana Dolfin zakradającego się do twego parku, że poznawszy się z nim, umyślnie kilka razy wspomniał twoje nazwisko i zawsze tym sposobem wywoływał rumieniec na jego blade lica; że późniéj spotkał go siedzącego przy tobie w powozie, że kiedy parę dni temu pojechał do Réauxille, a nie zastawszy pana Dolfin wszedł do jego pokoju, chcąc tam na niego póczekać, najpierwszym przedmiotem jaki mu wpadł w oczy, był kawałek popielatéj wstążki, zawiązany na szyi statuetki przedstawiającéj Najświętszą Pannę.— Pozwolę sobie głowę uciąć, zawołał, jeśli ta wstążka nie należała do pani de Lestang. Kiedy ją widziałem ostatni raz, miała na sobie popielatą suknię. Kolor ten najlepiéj się zgadza ze stanem jéj duszy; ale jaskółki zaczynają wracać. Nasz młodzieniec uzyskał już drobne ustępstwa; ta wstążka może być obietnicą lub wspomnieniem. Czemuż nie miałbym przypuścić że już niczego żądać nie potrzebuje..... Wszak na kilka dni oboje gdzieś znikli? Czy to już żadnéj niepodpada wątpliwości, że pani de Lestang jeździła do ojca? A! panie margrabio, wydarłeś mi moje dobro; ja ci się wywdzięczę, ja cię uwiadomię w co się obraca twoje w czasie twéj nieobecności.

Dałam mu uczuć całe moje oburzenie, powiedziałam w jaki sposób poznałaś u mnie pana Dolpin i oświadczyłam że wszelkie jego przypuszczenia są tylko niecnemi i niedorzecznemi bredniami. Co zaś do jéj męża, dodałam, wierz mi pan, nie ściągaj na siebie jego gniewu, nie jesteś zdolnym stawić czoła podobnemu przeciwnikowi. Powiedziałam mu nawet bajeczkę o glinianym i żelaznym garnku, był jednak do tego stopnia rozdrażniony że wszystko to nie zrobiło na nim żadnego wrażenia: złość nadała zającowi lwie usposobienie. Pan Malombré rzucał w około tak srogie spojrzenia jak gdyby cały świat wyzywał do walki, i pożegnał mnie z miną człowieka gotowego pochwycić za broń....“

— A teraz, mówiła daléj, powiedz mi, droga Izabelo, czy jest choć iskierka prawdy w tych; wszystkich bredniach. Poznałaś u mnie pana Dolfin przedstawiając ci tego młodzieńca, którego charakter dotąd został dla mnie zagadką, chciałam cię rozerwać i choć na chwilę myśli twoje zwrócić na inny przedmiot; czyż mogłam przypuścić że płomienie twych pięknych oczu, tak raptownie przenikną serce przyszłego trapisty? Powiedz mi szczerą prawdą, gdyż byłabym niepocieszoną, gdyby moje dobre zamiary tak smutne wywołały następstwa.

— Doprawdy, odpowiedziałam z największą spokojnością, nie masz się pani o co troszczyć, cóż to może panią obchodzić?

Przyglądała mi się z największą uwagą. Czy pan Dolfin był tutaj? zapytała nalegającym tonem. Czyś go przyjęła?

— Tak jest, odpowiedziałam.

— Czy to prawda że on cię kocha?

— Nie wiem.

— A ty, czy kochasz go?

— Także nie wiem; ale gdybym nawet wiedziała, cóżby w tem było złego?

Milczała przez chwilę. Potem, rzekła z żywością, strzeż się moje drogie dziecię, to bardzo ślizka droga. Wiesz jak szczere współczucie budzi we mnie twój smutek, jak dalece pojmuję twój gniew słuszny, dziś jednak lękam się aby głowa lub serce nie doprowadziło cię do jakiegoś kroku któregobyś późniéj gorzko żałowała. Powiedz sobie, że szybko zbliża się ten wiek w którym kobieta mająca sobie coś do wyrzucenia, ceną wszelkich uciech i rozkoszy miłości chciałaby okupić choć trochę tego szacunku wynagradzającego niepokalaną przeszłość. O! jakżeby wtenczas usilnie pragnęła zdobyć szacunek, zabić wspomnienia, zabezpieczyć się przed tem co mówią i przed tem czego nie wypowiadają, uchronić się pewnych przerażających ją wspomnień i uśmiechów. Poważanie, zdaje się być czczem słowem póki trwa młodość, póki namiętność sercem włada, lecz kiedy siwizna zacznie przyprószać włosy, szczęście nasze zależy od opinji i nieraz własną krwią chciałybyśmy wymazać z karty naszego życia, wszystko co od nas szacunek oddala. Powiedz sobie jeszcze, że uczciwa kobieta nie może nic lepszego zrobić jak pozostać uczciwą: bo z tego tylko potrafi się wywiązać dobrze, do czego innego nie ma talentu, kto posiada sumienie ten nie potrafi się długo utrzymać na złéj drodze. Powiedz sobie także, (a mówię to z najgłębszem przekonaniem) że jakiekolwiek są przewinienia Maxa, prędzéj czy późniéj wróci on do ciebie. Przez litość nad sobą samą, droga Izabelo, nie zagradzaj sobie dobrowolnie drogi do szczęścia.

— Jakiegoż to gorliwego adwokata, jaką wierną i poświęconą sobie przyjaciółkę znalazł Max w pani! rzekłam z goryczą. Winszuję mu z całego serca; lecz nie bądź pani większą royalistką od samego króla. Mam o nim wiadomości, wiem że korzysta ze swéj wolności w całem znaczeniu tego wyrazu, i że nie myśli bynajmniéj krępować mojéj.

— Mój Boże! zawołała, cóż to za niemądre zwierzątka z tych mężów, ani się domyślają, co uczciwa kobieta może powiedzieć a nawet wykonać w przystępie rozpaczy i gniewu!.. Moja droga Izabelo, mówiła daléj, rzuciłaś rękawicę, ja podnoszę ją, i uprzedzam cię że z tąd zaraz jadę do Réauville, może tam będę szczęśliwszą.

(d. c. n.)
